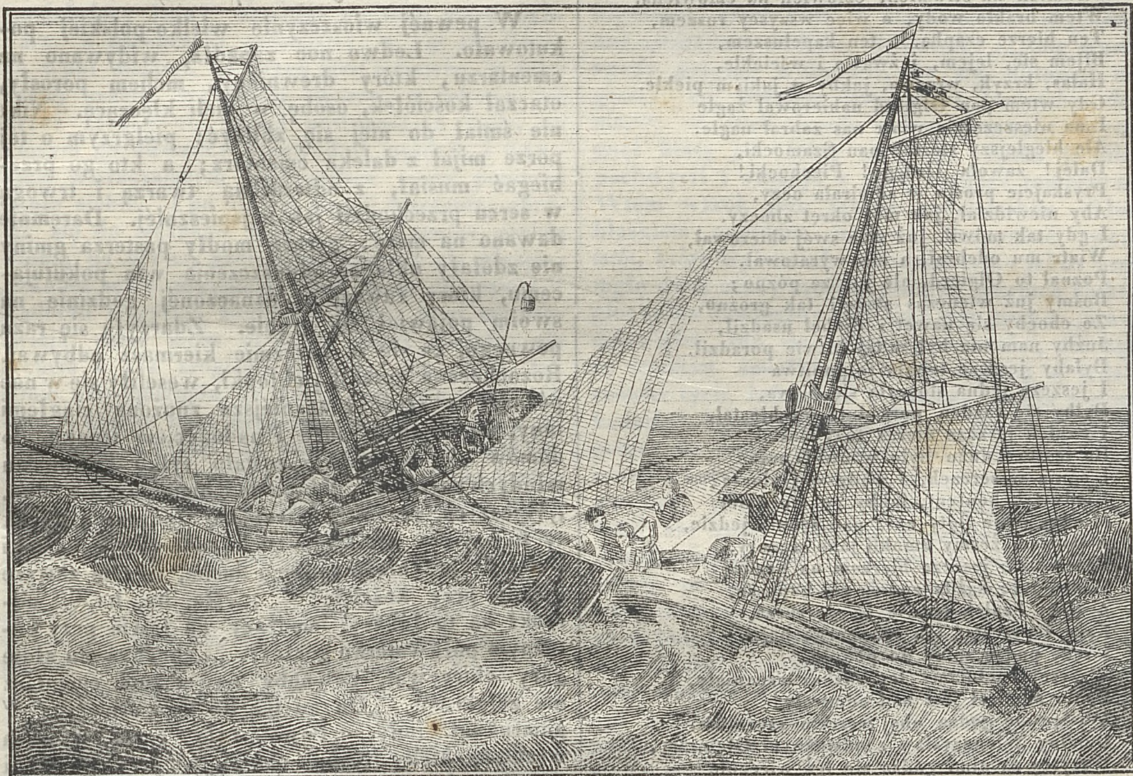
Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. No: 44. Leszno, dnia 5. Maja 1838.



Adolf Czapski.

Hydromachia.

Hydromachia,
czyli
bitwa wodą i na wodzie.

Poemat heroiczny.

W miejscu, którego nazwiska nie powiem
Nic to albowiem do rzeczy nie przyda. Kras.

Zebrało się lata przeszłego nie liczne, lecz wesołe towarzystwo, które po różnych zabawach, sprzyjającą pogodą zachęcone, postanowiło sprawić sobie igraszkę wystawieniem bitwy morskiéj, w któréj zamiast dział ognistych, użyto pomp i sikawek. Wiernie ją wystawia następujący, lubo nie zupełnie poprawny wiersz. Łaskawy czytelnik łatwo mu przebaczy i uchybienie rytmu i wyrazy cokolwiek pospolite, skoro się dowie, iż autorem jego jest chłopczyna, wykształcony nie w liceach i akademiach, lecz w podłéj wiejskiéj szkółce, *) w któréj więcéj podobno wzorów poezyi nie czytał, prócz owéj sławnéj pieśni, którą dzieci w szkółkach straszyć się zwykło:

Rószczką Duch święty i t. d.

Gdzie woda wyspę wkoło oblewa,
A na niéj rosną tak prześliczne drzewa,
Naprzeciw sobie dwa okręty stały,
A na okrętach dzielne admirały:
Jeden pan Olgierd, pan Wienczysław drugi,
Przy nich zaś liczne majtki do usługi;
Naszym sternikiem był pan Szamocki,
Ja do sikania Franuś Piechocki.
Na drugim statku sterował Michałek,
Z wzrostu był bzdura, a z przezwiska Szałek,
Zamiast stér swój trzymać w rękach,
Ciągle bajał jak na mękach,
Ledwo statku nie obalił,
A admirał w łeb go zwalił.
Z naszéj zaś strony był wielki porządek,
A zwłaszcza pana sternika rozsądek,
Bo chociaż Michałek pocił się i sapał,
Nasz pan dowódzca cały wiatr mu złapał.
Jam więc pracował i nigdy nie ustał,
Po oczach, gębie i po uszach chlustał.

---

*) Ten tylko wzgląd skłonił redakcyą do umieszczenia niniejszego artykułu.

Rozgniewał się pan Olgier
I ryknął jak arabski ogier;
I strasznym zaraz uderzył w nas szturmem:
Tutaj dopiero biliśmy się hurmem,
Każden mężnie, każden śmiele,
A pan Wienczysław na czele.
Straszliwa bitwa, z obu stron zawarzała,
Z obu stron woda, jak z cebrów się lała,
Grały sikawki z bliska i z daleka,
Strumień na strumień, człowiek na człowieka.
Wtém brakło wody, a więc wszyscy ruszem,
Ten bierze czapką, a ten kapeluszem,
Bijem się, lejem, i żwawo i wściekle,
Hałas, krzyk, wrzawa, jakby w jakiém piekle.
Gdy wtém pan Olgierd nakierował żagle
I na nieszczęście wiatr nas zabrał nagle.
Ale bieglejszy sternik pan Szamocki,
Daléj! zawoła Ordęgo! Piechocki!
Pryskajcie prosto w admirała oczy,
Aby niewidział, jak mój okręt zboczy.
I gdy tak mówił, już stér swój skierował,
Wiatr mu odebrał, a nas wyratował.
Poznał to Olgierd, ale już za późno;
Bośmy już wtenczas stanęli tak groźno,
Że choćby się nawet i djabeł usadził,
Jużby nam nie był w téj bitwie poradził.
Byłaby jeszcze trwała ta gonitwa
I jeszcze jedna stoczyła się bitwa,
Byłby się każden porządnie wychłostał,
I Szałek jeszcze nieraz tuzy dostał,
Bo jeszcze dużo było w owéj porze
I ognia w sercach, i wody w jeziorze;
Kiedy tak kontent, jakby po obiedzie,
Między dwie floty nasz pan sędzia jedzie,
A widząc, żeśmy zmokli jako szczury,
Przecie się jeszcze bierzem na pazury:
Widząc, że każdy znowu się napusza,
A zbity Szałek ledwie że się rusza,
Każe zaprzestać tak strasznego boju,
I ręce podać sobie do pokoju.
Wszyscy spełniamy ten rozkaz wspaniały,
Bo to admirał jest nad admirały!
A więc się godzą obaj sercem szczerem,
Dzielny Wienczysław z odważnym Olgierem,
Wszyscy za nimi godzą się też wiecznie
I ja też z Szałkiem ściskam się serdecznie.
Po takiéj zgodzie do portu płyniemy,
Myśląc, że pewno coś dobrego zjemy;
Bo wtenczas nawet, gdy się żwawo biło,
Zważałem, jak się z komina kurzyło.
Płyniem do brzegu, gdzie między drzewami,
Skrzętna gosposia miga się przed nami,
A pan obożny jak na beczce śledzi,
Na wielkiéj kłodzie w okularach siedzi:
Wyśliśmy z łodzi, na brzeg się wywlekli,
Panów i siebie czym prędzéj oblekli;
A gdym ja szaty rozwieszał i składał,
Szałek choć zmokły u matki zajadał.
Wtém zaszło słonce, przyszedł wieczór bury,
Gwiazdy jak oczka patrzały się z góry,
Bo wszędzie miały piękne widowiska,
Wszędzie po wyspie błyszczały ogniska,
Tak, iż ja wtenczas mówiłem do siebie:
Ogień, jak w piekle! lecz roskosz jak w niebie.
Mnóstwo tam ptaszków śpiewało z radości,
Wszystkie przez wdzięczność sędzi jegomości:
I drzewa nawet kłaniać się zdawały,
W miarę, jak niemi wiatry powiewały.
Dano nakoniec dla wszystkich wieczerzę,
Gdzie zajadałem i smacznie i szczerze;
A Szałek wciąż z okna się wpatrywał,
Wciąż się niecnota patrząc oblizywał.
Taki był koniec téj wielkiéj batali,
Po któréj wszyscy porządnie chrapali.
Taki był koniec wodnego zamachu,
Który napędził wszystkim rybom strachu.

Tak się skończyła ta wodna gonitwa,
Ten bój zacięty, ta okropna bitwa!

Franc. Piech..ki.

Zbawienie dwóch duchów.

(Gadka wielko-polska, z manuskryptu: *Strachy wielko-polskie.*)

W pewnéj wioszczynie wielko-polskiéj pokutowało. Ledwo noc zapadła, widywano na cmentarzu, który drewniany, mchem porosły, otaczał kościółek, osobę w bieli klęczącą. Nikt nie śmiał do niéj się zbliżyć: pielgrzym o téj porze mijał z daleka cmentarz; a kto go przebiegać musiał, z odwróconą twarzą i trwogą w sercu przechodził jak najśpieszniéj. Daremnie dawano na msze: gorące modły pasterza gminy nie zdołały ubłagać odpuszczenia win pokutującemu, który zawsze w oznaczonéj godzinie na swoim pojawiał się grobie. Zdarzyło się razu pewnego, że się w karczmie kiermasz odbywał. Rozochocone gorzałką chłopki, weseliły się w noc późną, aż część znaczniéjsza znużona ciągłemi tany, a niejeden może i nadużyciem trunku, do domów się rozeszła; zostało tylko kilkunastu młodych parobków, dobrze podchmielonych wódką. „Wiesz co, Kuba,“ ozwał się Jędrek, „wszak ty to zawsze wielkiego zucha udajesz; jeśliś taki śmiałek, przynieś nam tego ducha, co tam zawsze klęczy przy kościele!“ „„Ha, ha, ha,““ odrzekł na to Ignacy, siedzący na ławie przy potężnym półkwaterku gorzały, „„choćbyś mu złote góry obiecywał, pewnoby nawet pod cmentarz nie zalazł.““ „On mi też do tego stworzony,“ pomruknął inny. Powstawała coraz żywsza wrzawa, kiedy Kuba oburzony przycinkami i pośmiewiskami, „„„no,“““ krzyknie, „„„bo ja tu z siebie drwinkować nie pozwolę; — co mi dacie, a za kwadrans ujrzycie nieboszczyka na tym oto stole!“““ „Cztery garnce wódki,“ ozwali się jednogłośnie. „„„Dobrze, przystaję; ale biada temu, co z karczmy uciecze, kiedy ja powrócę!“““ i wcisnąwszy baranią czapkę na uszy, odszedł, a parobczaki, śmiejąc się, potakiwali sobie: „dyć go tu jeno patrzeć za chwilkę. Ha, kiedy już xiądz proboszcz, osoba przecież poświęcona, a nie śmie z duchem się spotkać, cóż dopiero z nas który! Oj, żeby mu też tam dobrego strachu nagnało! będzie mędrszym nadal sobaka. Panie Pietrze, jeszcze po lampie tutaj; tylko téj naszéj, co to tak głaszcze po sercu, jakby weń zarzewia nasypał.

Nie maszci to, jak dzień godny,
Kiermaszowy, kiermaszowy;
Pije wódkę człek swobodny,
Przez noc całą z dnia połowy.

Nie troszczą go dzieci, żona,
Nie zna ich parobczak młody;
Jeśli westchnie wpośród grona,
To, by klasnął w twarz jagody!..

Oh, cóż nam tam zawsze jednę będziesz dudlił, Maćku. — Jedna, jedna, ale dobra! — Nu, Ma-

ciosiu, ty coś już się kiwasz; opowiedz nam jeszcze co, boć przecie nie podobno spać, kiedy tu duch ma przyjść. — Oj ma, ma, zobaczycie wy tu ducha, ale w baraniéj babie, bladego jak śnieg: będę się też śmiał serdecznie ha, ha, ha! Słyszysz go, jak już drapie do drzwi! oślepła psiawiara, nie widzi nawet, gdzie rygiel od karczmy.

Tu się drzwi z zgrzytem na wpół rozwarły: „najsłodszy Jezu!" zawołał z trwogi stary szynkarz, a parobczaki oniemieli; w kąt się tłoczą na wpół martwi, bo przed nimi martwiec w śnieżystéj szacie, wybladłéj twarzy, z rękoma na krzyż złożonémi, stanął poważnie na stole, na którym go odważny przewodnik usadził, i wzrokiem wstrząsającym najtwardsze serca potoczył około siebie. I po długiéj chwili milczenia, obrócił się do mężnego Kuby, i wskazując oschłą dłonią na drzwi, grobowym odzywa się głosem: „zkądeś mnie przyniósł, tam mnie odniesiesz." Zadrzeli wszyscy, zadrzał i Kuba: nogi mu drętwieją, serce mróz dreszczu ścina; chciałby się zrzucić z tak srogiego rozkazu, ale duch tak silnie nań spogląda, że nawet ust otworzyć nie śmie. Bierze więc drżącemi dłońmi srogiego towarzysza, wkłada na ramiona i obaj znikają. Śmiertelna cisza rozlała się po całéj izbie, i młodzi krzykacze milczą, jakby im żelazem zakuł usta; nie jeden duszą skruszoną ciche wznosi modły do Boga; aż nareszcie przerwał milczenie Maciek; ale już nie rozkazującym, lecz słabym głosem: „Oj wiecie, prędzéj wierzyłbym był, że ziemia podemną pęknie, a ja weń zapadnę, jak że ujrzę taki cud! Drwiliśmy z Kuby, ale to jednak człowiek, nad którym boska czuwa Opatrzność. Zgrzeszyliśmy, uderzma się w piersi i zmówmy trzy zdrowaś i jedno wierzę za tę duszę, którąśmy tak znieważyli." I wszyscy uklękli i przy mdławym blasku dogorywającéj świeczki i dotlewającego się ognia na kominie, szeptali pacierze. Tymczasem Kuba wśród czarnéj nocy drżącym pospieszał krokiem na cmentarz. Skrzypiącą otworzył furtkę i przystąpiwszy do grobowca, na którym nieboszczyk zwykł był chwile swojéj pokuty odbywać, chciał go znów na nim złożyć. „Nie tutaj teraz moje miéjsce," ozwał się znowu grobowym głosem; „przed ołtarz do kościoła mnie zanieś; zanieś, bo biada temu, co naszych nie spełnia rozkazów!" W obłąkaniu prawie zbliżył się Kuba z swym towarzyszem do wrótni świątyni, gdy się ta z hukiem sama rozwarła, przerażając okropném echem cichą modłów zachronę; pękły takoż i drugie drzwi kruchty; i jakaś jasność uderzyła oczy Kuby. Przecież w téj chwili nadzwyczajnym dziwem trwoga znikła z jego duszy, a duch rzekł z łagodnością: „Czy widzisz tę białą osobę, co tam klęczy przed wielkim ołtarzem? Jest to mój kumotr, z którym zwaśniwszy się za życia, pomarliśmy obaj w zagniewaniu. Już pięćdziesiąty rok tutaj pokutujem, a prędzej zbawionymi być nie możemy, dopóki nas kto na téj ziemi, z któréjśmy w gniewie odeszli, znów nie połączy. W twojéj dziś mocy zbawić lub zgubić nas na wieki! Chcesz naszego szczęścia, to przystąp wraz zemną do ołtarza i połącz nasze dłonie." Zdumiał się Kuba na tę prośbę groźnego wprzódy ducha; lecz jakąś dziwną uczuwszy odwagę w sercu, nie długo się wahając, zbliżył się do osoby przed ołtarzem Pana Zastępów klęczącéj. Duch klęczał, nie rzuciwszy ni jednego nań spojrzenia, aż Kuba się ozwał: „„Bóg waszéj zgody pragnie widocznie, bo się ulitował nad grzesznymi, podajcie więc sobie braterskie dłonie."" A duch wesoło nań spojrzawszy, wyciągnął białą jak śnieg prawicę. Kuba ją silnie pochwycił i złączył z ręką swojego towarzysza. Wtém wzrok jego jakimś nadziemskim oblany blaskiem napróżno usiłował rozpoznać twarze istót, które wybawiał. Widział tylko jakby przez mgłę dwie osoby uroczéj postaci; wkrótce znikły; głos tylko dźwięczny obił się o jego uszy: „prawy człowieku, idź do twojéj powinności, nie bądź za wielkim śmiałkiem, a nie wątpiéj o wdzięczności tych, którycheś z paszczy piekła wyswobodził." Upadł Kuba na kolana, długo się modlił gorąco do nieba, poczém wrócił otwartemi jeszcze wroty z kościoła do swoich towarzyszów. Zadrzeli wszyscy, gdy wstąpił do karczmy; ale go nikt daléj nie badał. On też w myślach pogrążony, dumał niejaki czas na ławie; a gdy już ludzkie gwary po wsi powrót dnia oznaczyły, pożegnawszy towarzyszów uprzejmie, odszedł. Widziano go w tym samym dniu jeszcze na mszy, któréj klęcząc słuchał z wrytémi w ołtarz oczyma. I wieść cudu wkrótce rozeszła się po całéj okolicy. Kuba był odtąd w wielkim u gminy szacunku, który, przez cnotliwe nader życie, tém mocniéj sobie zatwierdził.

A. B.

Fac simile.

W 27. Nrze r. b. Przyjaciela Ludu były umieszczone fac-simile królów polskich: Zygmunta III., Jana Kazimierza, Jana Sobieskiego, jako chorążego kor. Augusta III. Sasa, i Stanisława Augusta. Do uzupełnienia podpisów wszystkich królów polskich, od Zygmunta III. zacząwszy, brakło Władysława IV., Michała i Augusta II. Te więc przesełam redakcyi, dołączając do nich podpis Stefana Batorego i Jana Sobieskiego, jako króla. Wszystkie wyjęte z dokumentów kapituły poznańskiéj.

B.

1. *Podpis Stefana Batorego.*
2. *Podpis Władysława IV.*
3. *Podpis króla Michała.*
4. *Podpis Jana III. Sobieskiego.*
5. *Podpis Augusta II., Sasa.*

Stephanus Rex

Vladislaus Rex

Joannes Casimirus Rex

Michael Rex

Joannes Rex

Augustus II

Augustus Rex

List Jmć. pana Karasia, cześnika litewskiego, do Jmć. pana Jakubowskiego, półkownika, o zgonie Stan. Poniatowskiego, dnia 23. 7bris z Ryków 1762.

JO. JPan Stanisław z Witeliuszów Poniatowski, kasztelan krakowski, zszedł z tego świata w Rykach, dnia dwudziestego trzeciego Września, i dokonał wieku w roku ośmdziesiąt piątym. Ten pan jeszcze z młodych lat napełnił swą sławą Europę, i ozdobił wypis dziejów w różnych językach. Jakiéj odwagi i dzielności ten pan był, świadkiem były postrzały, które w różnych bitwach i potyczkach odniósł. Jego męztwo, z mądrością złączone, tak wielce sobie szacował ów wielki bohatyr król szwedzki, Karól XII., iż go uczyniwszy w swém wojsku jenerałem, do największych i najtrudniejszych rzeczy zażywał; on z nieszczęśliwéj bitwy pod Pułtawą już utracającego życie króla wydobył, i z wszelkiego niebezpieczeństwa aż do Benderu zaprowadził. Po wielu fortuny obrotach znalazł ten pan taką łaskę i zaletę u Augusta II., iż był od niego



Stan. Poniatowski, wojew. mazowiecki, potém kasztelan krak., ojciec króla Stan. Augusta Poniatowskiego.

uczyniony naprzód podskarbim wielkim litewskim, jenerałem gwardyi królewskiéj w Polsce, potém najwyższym wojsk koronnych wodzem i wojewodą mazowieckim. Niemniéj jego cnota znalazła szacunek i u Augusta III., w nadgrodę, któréj wziął od niego najwyższe w senacie świeckim krzesło, to jest kasztelanią krakowską. Miał ten pan miłość w wojsku, rycerstwo wszelką ufność w nim pokładało: w całéj koronie i w Litwie po województwach, ziemiach, powiatach, rady swojéj taką wiarę miał, co chciał, to uczynił, mając Jegoż, w utrzymaniu wolności, praw ojczystych obronie. W którym ludzkość rozkazywała do każdego mieć miłość, uszanowanie z mądrych jego czynów; któremu chwałę przynosiły, ludność przyjaciół, tym większy szacunek dodawał powagi, przyjaźni, chwytając się jego rady. Miał naprzód za sobą Wojniankę Jasieniecką, kasztelankę nowogrodzką, wdowę po Ogińskim mieczniku litewskim, a potém po jéj śmierci xiężniczkę Konstancyą Czartoryską, kasztelankę wileńską, z któréj liczne nam potomstwo z wszelką pilnością edukacyi zostawił. Synowie w ojcowskie ślady wstąpili, jako oczywiste są dowody męztwa w obozach, z których jeden zginął pod Ipern, miastem we Flandryi austryackiéj. Pokazali miłość swą ku ojczyźnie, sprawując wysokie urzędy i poselstwa zaszczyty piastując. *)

*) *Temu Stan. Poniatowskiemu, wojewodzic mazowieckiemu, przypisują dzieło pod tyt.*: »*Remarques d'un Polonais sur l'histoire de Charles XII. par M. de Voltaire.*«

Wyimki z podróży malowniczéj po Wielkiéj-Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Z Krotoszyna w dalszéj drodze, zatrzymałem, dla wytchnięcia koni, w Kobylinie; ochota wynajdywania dawnych pamiątek, prawdziwych klawiszów w instrumencie historycznym, zawiodła mnie do tamecznych kościołów; sądziłem, że gdziekolwiek znajdę pomnik jednego z tych uczonych medyków, którémi się Kobylin krajowi wywiązał: niestety! w żadnym nie było i śladu. Kościół bernardyński, na przedmieściu leżący, zewnętrzną swoją strukturą odległych bardzo czasów sięga; forma cegieł, z których budowany, ten gzyms tak misternie z polewanych kwadracików pleciony, owe mrozem wieku ośroniałe korytkowate dachówki świadczą, że te mury, które z ziemskiego pyłu nie raz wezbrana obmyła Orla, przynajmniéj cztery wieki gniotą w łono ziemi. Wewnętrze świątyni znalazło w ostatniém półwieczu jakiegoś na starożytność zawziętego dobrodzieja, co je wybielił, upstrzył, i z całéj ozdoby odwiecznéj pleśni oczyścił. Na cmentarzu, w kaplicy, pomnik położony kasztelanowi Konarskiemu, ani robotą, ani dawnością się nie zaleca. Drugi kościół farny, w środku miasta, roku 1286, jak napis nad wielkim ołtarzem poświadcza, nierównie nowszym na pozór by się wydawał, gdyby starości jego nie zdradzały uboczne drzwi do zakrystyi, niskie i przez mur gruby w łuk gotycki sklepione. Wewnętrze téj świątyni również nową ma postać; pożar zniszczył sklepienie, co ją pewno o wiele wywyższało, a w późniejszych czasach, albo brak funduszów, albo nieumiejętność zawieszania w takiéj wyżni

lekkich sklepień niedozwoliła odbudować nowego i tylko na suficie z desek przestano. W wielkim ołtarzu ujrzeć można na drzewie zabicie Śgo Stanisława. Nigdy dotąd nie widziałem, ani dowiedzieć się mogłem o obrazie, coby historyczne to zdarzenie przedstawiał, i inaczéj przyczyny wytłumaczyć sobie nie mogę, jak tylko domysłem, iż przodkowie nasi, przez wzgląd na swych królów, nie przypominali czynu, którym się jeden z nich zmazał. W rzeczonym obrazie od pierwszego wejrzenia, uderzyła mnie niezmierna sprzeczność świeżych zupełnie kolorów, z ową ostrością zarysów, która najdawniejsze tylko cechuje malarstwo. Kiedy sztuka w swéj wiosnie nie wydoskonalona, nie mogła się jeszcze zupełnie wyrwać z więzów, massy, materyi, rozmiaru, i na czystéj tylko ograniczyć przestrzeni; wtenczas powstawały na płotnie, owe postacie długie, proste, sztywne, stęgłe, ostro zakreślone i jakoby dłótowane z drzewa; wtenczas malarstwo jeszcze miało w części charakter rzeźby. Uczeni estetycy zwykle utrzymują, iż malarstwo wykształciło się z rzeźby w przechodzie od statuy przez grupę i płaskorzeźbę do obrazu. O ogólném malarstwie mówiąc, zaprzeć tego nie podobno; ale jeżeli rozważymy malarstwo katolickie, to jest malarstwo, które w takiéj świeżéj pobożności powstało w Niemczech, a do najwyższéj doskonałości doszło w Włoszech, dodać potrzeba, iż kolej jego kształcenia się, na drobniejsze da się rozłożyć odcienia i nieco odmienny ma charakter. Od statuy z ciężkiego, twardego, obumarłego głazu, przeszła sztuka do statuów z lżejszego, miększego w fizyczném życiu wzrosłego drzewa; te obłoczyła w różnobarwne szaty, ciało w kolory życia przybierała, więcéj potrzeba było zręczności, mniéj siły, dłóto nabierało gipkości pendzla, ale sztuka jeszcze była niewolnicą massy materyi, a ztąd powstały owe ołtarze *) podobne do rozwartych, ludem napełnionych mieszkań, bo Bóg przyjmował w świątyni, swojém mieszkaniu, uciekającą się pod jego ręce ludzkość. Chrześciaństwo wolne od materyi, nie może ścierpieć i téj ciążącéj szaty, uwalnia ducha z więzów ciała; otrząsa on się z swéj miąższości, na gładkiéj rozpościera przestrzeni, i rodzi malarstwo. Lecz i to pierwotne malarstwo, od massy do przestrzeni od razu przeskoczyć nie może; po nad malowanemi postaciami, jeszcze w drzewie rznięte cięży sklepienie, albo wisi obicie z grubéj pozłoty, aż powoli ten duch piękności, zupełnie wolny od materyi, na przezroczyste ściele się płótna. Ale czas wrócić do obrazu, w którym sprzeczność kolorów z ostrością zarysów tak mocno mnie zadziwiły. Ciekawość moja tém więcéj była zao.trzoną, aż mocno się weń wpatrując, dostrzegłem, iż na tle niebieskiém ponad postaciami kiedyś rznięte były piękne arabeski. Nie podobno było natenczas od razu nie odgadnąć, że obraz ten w nowszych czasach odnowiony, należy do rzędu obrazów, malowanych na taflach drewnianych, w ołtarzach znanych w Niemczech pod nazwiskiem Tafelaltäre. Obrazy te, zwykle bywały na obie strony malowane, bo dawniéj za wielkim ołtarzem był chór, w którym się modlono. Pobiegłem za ołtarz, a zacząwszy wycierać kurzem pokryte deski, ujrzałem z wielką radością, dwa obrazy na bocznych skrzydłach; tem większe było moje ukontentowanie, gdym postrzegł, iż te tu uszły baczności odnowiciela, i w pierwotnym nam się przechowały kształcie, piękniejsze kolorytem, i owém wyzłacaném w arabeski rzniętem tłem, co charakteryzuje płody bizanckiéj sztuki. Średnia główna część obrazu, z tylnéj strony jest obita deskami; *) widzieć zatem nie można, co przedstawia; z przedniéj zaś strony widzieć można zabicie Śgo Stanisława, na skrzydłach cztery różne jego czyny. Koloryt odnowieniem zupełnie jest zepsuty, ale z rysów mało zmienionych, śmiało sądzić można, że obraz malowany, kiedy sztuka jeszcze była w kolebce. Klęczący ś. Stanisław wznosi przed ołtarzem hostyę, dwaj w ciemnych dalmatykach assystujący kapłani, podpierają biskupa, kiedy rozgrzany gniewem Bolesław, jeden cios mu zadał, i do drugiego silne zamierzył ramię. Nie powiem nic o wyrazie twarzy, gwałtownemi uczuciami wzruszonych osób, bo malarz zapewne sprzeczne z historyczną prawdą chciał odmalować uczucia. **) Święte uniesienie nie przystoi wspólnikowi Czechów, namiętny gniew wyuzdanego lubieżnika, nie właściwy wielkiemu królowi, co sławę polskiego oręża tak wysoko dźwignął. Ale chciejmy to puścić w niepamięć; nie zdzierajmy poetycznego wdzięku z powieści, uświęconéj tylu wiekami; szanujmy, przez szacunek dla przodków, co oni szanowali. Wszystkie ozdoby wielkiego ołtarza, równie jak i obraz, ucierpiały mocno od odnowiciela: koryntskie kolumny, osnute w misternie splecioną korónkę, w złotolitą odziane powłokę, oskrobano i lazurową umodrzoną farbę.

---

*) *Mowa tu o ołtarzach zamykanych na kształt szaf: ustawiano w nich liczne grupy, z statuów drewnianych, malowanych olejnemi farbami, wyzłacanych: podobny do tego ołtarz u Panny Maryi w Krakowie.*

*) *Szkoda, że autor nie zdołał usunąć téj przeszkody, i nie opisał nam obrazów, tak ważnych zapewne pod względem sztuki, zabytków odległéj starożytności.* P. R.

**) *Według manuskryptu Marcina Galla, spółczesnego kronikarza, wynalezionego przez T. Czackiego, a za autentyczny uznanego przez Tow. Krol. Przyj. nauk w Warszawie, którego wydanie rzeczone towarzystwo poleciło J. Bandke, Stanisław Szczepanowski, biskup, był w zmowie z Czechami o wydanie Krakowa, i za to od rozgniewanego króla Bolesława zamordowany został.* a)

a) *Wyraz «proditor» znajdujący się pierwiastkowo w texcie Marcina Galla, wydanym p. Wincentego Bandtke w Warszawie, późniéj, przez traditor sc. vici Piotrowin, sprostowanym został, azatem zarzut zdrady sam przez się upada.* P. R.

Tak to gorliwość, nie wsparta dobrym smakiem i znajomością rzeczy, najczęściéj niszczy najciekawsze starożytności zabytki, największe arcydzieła. O pochodzeniu tego obrazu, nic wybadać niemogłem; pożar, co zniszczył kościół, pochłonął całe archiwum kościelne, i wiekuistą tajemnicą powlókł wszystkie domniemywania.

J. M.

Do dziejów wychowania publicznego w Polsce za Augusta III.

(*Dokończenie.*)

Pojechałem zatém w piętnastym roku do Skarczew, tak nazwanego miasta, gdzie była kancelarya grodzka, pomorska, i gdzie xiędza stryja było probostwo. Ten szanowny kapłan, oddał mnie w dozór komendarzowi swemu, aby miał oko na moje obyczaje i moralne postępowanie. Rejentowi zaś kancellaryi, Płacheckiemu, polecił prawa naukę; więcéj uczynić w kraju, w którym żyliśmy, niemógł. Powszechne mniemanie uważało kancelaryą jako szkołę szlachecką, przez którą przejść koniecznie musiała młodzież, przeznaczona urodzeniem do rządu kraju i sprawowania wszelkich urzędów publicznych. Zgoła kacnelarya miał to być plennik senatorów, posłów, sędziów i t. d. Kto, jak ja przez to przeszedł doświadczenie, i nad przeszłém zastanowić się umie, dziwić się nierządowi, a potém zniszczeniu Polski mniéj będzie. Nasiono nieszczęść publicznych w tym gruncie edukacyi leżało. Jeżeli, jak ja wspomniałem, pierwiastkowa edukacya młodzieży oddana była bez ograniczenia Jezuitom i Dyrektorom, tak tutaj samym tylko passyom i namiętnościom młodzieniec był poruczony. Nadzwyczajnym tylko przypadkiem, lub téż szczęśliwém usposobieniem, stało się, jeżeli młody człowiek, z tego, że tak powiem, powietrza moralnego, bez zarazy serce swoje uniósł i nałogów najnieszczęśliwszych na całe życie nie nabrał. Co się tyczy nabycia wiadomości, to tylko przypadkowi, albo wrodzonym zdolnościom młodego przypisać było można; sama szkoła dać ich nie mogła, bo żadnych prawideł ani organizacyi nie miała.

Już tedy jestem kancelarzystą. To było hasło swawoli i rozwiązłości; szczęściem, że byłem pod okiem wielce moralnego kapłana kommendarza, Sztoba, i że wrodzoną miałem skłonność do pracy i wielką chęć do nauk. W krótkim czasie nauczyłem się na pamięć akcessoryów; miała to być książka elementarna prawnictwa, Postąpiłem, co było najważniéjszém w aktykancyi, tém słowem barbarzyńskiém nazywano sposób pisania, czyli zapisywania wszelkich czynności prawnych między stronami zaszłych, albo z wyroku sądu. Dzień i noc męczyłem się na osobności nad czytaniem statutów Herburta i korrektury pruskiéj, nie mając żadnego wyobrażenia ducha praw i jego zasad, nieznając różnicy między prawem natury, polityczném, cywilném kryminalném i narodów. Wymawiałem prawa rzymskie, statuta magdeburskie, jak papuga ze zwyczaju, bo tak całe godne moje zgromadzenie czyniło. Ztém wszystkiém xiądz stryj po upłynionym roku znalazł wemnie znaczne postępki. Pan Rejent okrywał mnie pochwałami. Przecież ja z méj strony skarżyłem się na ten sposób nauki xiędzu stryjowi, który i oświecony i majętny, do mnie wielce przywiązany, chciał mnie do akademii posłać za granicę. Ale moje przeznaczenie chciało inaczéj. Ukochany mój opiekun późniéj w tym roku na moich rękach skonał. Téj straty nie wynagrodziły mi wszystkie następne lata, i jeszcze dziś, gdy to piszę, żalem ściśnione serce, łzy wdzięczności roni na pamięć mego najlepszego przyjaciela. On jeden życzył mi dobrze; on jeden umiał i mógł mi uczynić wiele. Nie miał jak lat 54, gdy mnie osierocił. Był w kapitule kujawskiéj wielce szanowany, będąc już Archidyakonem pomorskim, a będąc przez swoje oświecenie godnym téj powagi, miał prawo do widoków dalszych w kościele.

Ten cios dla mnie okropny ścieśnił moje widoki. Ukochana matka, pomimo swego najlepszego serca, nie widziała dla mnie szczęścia, tylko w kancelaryi. Nabrania biegłości jak najprędzéj w prawie, zaczęły wymagać okoliczności, gdy familia Gotartowskich i Jezierskich, już wówczas w wysokim stopniu pieniactwa będąca, zaczęła czyhać na nasz majątek. Wybrała do swego połowu moment naszego sieroctwa. Brat mój starszy Joachim, zawsze do życia samotnego przywiązany, niemyślał, jak tylko zostać Kartuzem. Wypadło mi zatém koniecznie trzymać się kolei prawa. Lat szesnaście mając, już po różnych sądach biegałem, gdzie nas pieniacze wyprowadzali. Nabierałem z doświadczenia coraz więcéj wiadomości praktycznych, tak, iż w siedmnastym roku, jako pierwszy kancelarzysta, zacząłem stawać, czy jak mawiano, odzywać się w sądach grodzkich i ziemskich. To było dość sławy na mój wiek. W tym czasie, w roku 1764, nastąpiła elekcya króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Elekcya królów polskich.

Polacy po śmierci Zygmunta Augusta, że po nim nie zostało sukcessorów płci mezkiéj, szukać musieli sobie króla, i, jak wiadomo, wybrali Henryka Walezego. Niektórzy historycy polscy utrzymują, że tron w Polsce zawsze był elekcyjnym. Że tak było, wątpić nie można; nawet z czasów bajecznych w dziejach naszych liczne tego mamy przykłady; przyjąć przecież trzeba iż początkowo miano zawsze wzgląd na sukcessyą, następnie na pokrewieństwo, a w ostatnich dopiero czasach obierano królów bezwzględnie.

Aż do Władysława Jagiełły trzymano się linii Piastów, do Zygmunta Augusta, linii Jagiellońskiéj męzkiéj, do króla Michała Jagiellońskiéj żeńskiéj; Sobieski pierwszym dopiero prawdziwie elekcyjnym był królem; wszyscy królowie aż do niego byli sukcessyjno-elekcyjni. Kazimierz Jagiellończyk, którego Miechowita, pierwszym królem elekcyjnym nazywa, był również sukcessyjno-elekcyjnym. Uznany na zjezdzie w Sieradzu następcą Władysława Warneńczyka, uchwałą zjazdu Piotra Końskiego, był tylko straszonym, iż Bolesław, xiążę mazowiecki, królem zostanie, jeżeli on dłużéj w uporze nieprzyjęcia korony polskiéj trwać będzie. Bolesław sam z siebie nigdy o koronę polską się nie ubiegał. Jan Olbracht, Alexander i Zygmunt I., także byli sukcessyjno-elekcyjni, i to tylko przez to, że nie zachowano porządku starszeństwa, opuszczając ich najstarszego brata Władysława, podtenczas już króla czeskiego. Ustawa z czasów Zygmunta I., którą jest przepisane prawo wyborów, i są wyłączeni z liczby wyborców xiążęta mazowieccy, mistrz krzyżacki i synowie zmarłych królów, nie dowodzi wcale, iż tron polski już wtenczas był elekcyjnym. Wybory wszystkie, aż do Henryka, były to tylko zjazdy, na których rostrzygano, kto jest najbliższym sukcessorem do tronu. Nawet obor Henryka i Stefana był tylko wybór męża Annie, a nie króla narodowi; lecz że trudno było to rozłączyć, wzięto jedno za drugie i obiór Henryka przyjęto za pierwszy i normę wszystkich obiorów; i my go także za taki uznać musimy.

Skoro tron za wakujący, jużto przez śmierć przez prawne złożenie, lub też przez dobrowolne się zrzeczenie króla, uznanym został, prymas państwa, jako też król, zwoływał sejm nazwany przyzywny (convocationis). Na tym oprócz postanowień koniecznych w czasie bezkrólewia i podpisania konfederacyi generalnéj, stanowiono czas odbycia się sejmu wyboru króla (electionis). Czasu pomiędzy sejmem przyzywnym a elekcyjnym, który bardzo był nieoznaczonym, a jak po śmierci Jana III. do ośmiu miesięcy przeciągniętym, użyto na przygotowania do obioru: to jest na sejmikach relationum zwanych, zdawali posłowie swym komittentom sprawę z czynności sejmu przyzywnego; obierano na tychże sejmikach posłów na sejm elekcyjny i radzono o kandydatach do tronu, którym aż do obioru Augusta II. mógł być ktokolwiek, tak obcy, jak i swój.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zamek Humel.

(Ballada.)

Część I.

Humelski zamek świeci jak pożoga,
W zamku grzmią trąby i głośne okrzyki,
Zwiedzione mosty, ucztuje załoga,
A u podnóża dybią rozbójniki.

I pan na Humlu ucztuje wesoły!
W komnatach błyszczą złociste kobierce,
Pod laném srebrem gną się długie stoły,
A za stołami siedzą różnowierce.

I pan na Humlu podziela ochotę,
Spełnia puhary, słucha menestrele;
Lecz oczy skrytą wydają zgryzotę,
I w myśli nie to, co w licach wesele.

Odstępca wiary! — lecz nie przez ślepotę,
Błędami Hussa został zarażony;
On odszczepienstwem chce zatrzeć niecnotę,
Dziką swą zazdrość, i morderstwo żony.

Bo gdy za zbrodnię, przez bulę papieską,
Wyklęty, stał się braciom celem wzgardy,
(Aby zastąpić pokorą niebieską,
Pychę człowieka, za nadto był hardy.)

Wolał, niż skruchą zbawienie opłacić,
Zrobić, jak dumie djabelskiéj dogodniéj,
Pogardzić klątwą, i duszę zatracić;
Łącząc kacerstwo do swéj dawnéj zbrodni.

Dzisiaj ucztuje i sprasza wassali,
Krążą puhary wśród puzanów brzmienia;
Chce zalać winem zbrodnią, co go pali,
I zgłuszyć hukiem trąb wyrzut sumienia.

Lecz krew rozlana, krwi rozlewu wzywa;
I u stóp góry, w ciemnych lasów dziczy,
Zbiera się zgraja dzika i krwi chciwa,
Herszt ich chce zemsty, a oni zdobyczy.

O! noc tę skończą nie rozpusty krzyki,
Nie przy biesiadzie słonce ich powita,
Inną zanucą im pieśń rozbójniki,
Łuna pożaru za dzień im zaświta.

Zamek hussyty, nowych panów przyjmie,
I znów na zamku, rozpusta i zbrodnia
Głośno zasłyną, i znów Humla imie
W dziejach zbójeckich błyśnie jak pochodnia.

Część II.

Dziś wieże w gruzach, zwalone tarasy,
Zapadłe ściany i podziemia czarne
Okryły chwasty, i świerkowe lasy;
Świadcząc jak wszystko znikome i marne.

Tylko na szczycie, jak czaszki olbrzymie,
Ułamek niegdyś warownéj strażnicy,
I baszta wiekiem pokruszona drzymie,
Dawném imieniem grożąc okolicy.

Ale już przyszłość życia im nie nada!
Nie wstaną z martwych, krwawi ich rycerze,
Już nie zahuczy w komnatach biesiada,
Ni szczękiem broni odezwą się wieże.

Gdzie były lochy i pieczary ciemne,
Krzywd i przemocy niegdyś nieme świadki,
Dziś się tułają odgłosy podziemne,
Skryte przed prawdą, na wrzeciądz zagadki.

Wszystko tu, wszystko przeszło i wymarło,
Zniszczenie siadło na ruinach gmachu,
I przed człowiekiem w koło się zawarło
Szancem milczenia, odrazy i strachu.

A kiedy czasem wyobraźni ręka
Wygrzebie z gruzów okropne powieści,
Biada czułości! cnota ich się lęka;
Tylko wszeteczna ciekawość je pieści.

K. Z.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Redaktor Ciechański.*)